

**JOANNA  
SZCZEPKOWSKA**

Wyspa Teo



 WIELKA LITERA

[fragment książki](#)

## Opowiadanie bez końca

Teraz, kiedy się wszystko zaczyna, jest druga w nocy, najciemniejsza ze wszystkich godzin. Tutaj na oceanie, pomiędzy Afryką i Ameryką Południową, czarna i mroźna, jakby nigdy nie było słońca. Nie ma wiatru, więc nie ma zapachów, a gdyby nawet były, brakuje kogoś, kto by je wyczuł. Na dwudziestym równoleżniku o tej porze rzadko cokolwiek przepływa, pewnie dlatego Dżonga lubi tu spać i jak każdy wieloryb przed snem buja się w głębi wody pionowo, ogonem do dna. Ogromny, szary balon. Jak wszystkie wieloryby, jest zawsze w półśnie – odpoczywa tylko jedną połową mózgu, drugą czuwa, słyszy i czuje. Dżonga (tak go nazwijmy, co nam szkodzi) ma przed sobą dużo takich przystanków, wiele mil do Memphis, gdzie czekają tłuste, szare samice.

Dżonga pływa sam, nie potrzebuje stada, jak każdy taki samotnik, jest poraniony przez kałamarnice, a wisząc między dnem i powierzchnią, śni pewnie o koralowcach i błyszczących ławicach. Jak dobrze, że w głębi oceanu są takie nisze, gdzie można bezpiecznie zawisnąć na całe czterdzieści dwie minuty. Minęło ich sporo, odkąd Dżonga wprowadził swoje czterdziestotonowe ciało w stan uśpienia. Kałamarnice też śpią, może nawet tu blisko, ale nie

atakują wiszących wielorybów. Teraz jest cichy rozejm, jak zawsze, kiedy zanika granica między niebem i wodą, a ocean jest zamknięty przed światłem księżyca.

Nie ma lodowców i nigdy nie było.

A w Warszawie jest teraz godzina dziewiąta rano i jesień tak upalna jak środek lata, czego na szczęście nie czuje się w samochodach z klimatyzacją, więc można spokojnie... Nie, spokojnie nie można niczego robić ani o niczym myśleć, tak przynajmniej wygląda to na zatłoczonej jezdni, gdzie kierowcy bębnią palcami o kierownicę, czekając na kolejne światła. Na przykład Beata (nazwisko nieważne i tak wszyscy mówią i piszą o niej po imieniu, jakby była członkiem każdej rodziny), Beata dziennikarka spieszy się zawsze, taki to zawód, zwłaszcza odkąd udało się przebić do tematów gorących, globalnych, interwencyjnych, trzeba dotrzeć na czas, zwłaszcza dzisiaj, zresztą zawsze jest jakieś „zwłaszcza” i jakieś „dzisiaj”, ważniejsze od wczorajszych.

Beata zmienia biegi, drugą ręką szuka ciemnych okularów, które tkwią w bałaganie schowka niesprzątanym od lata. Gdzieś tutaj muszą być, nie spodziewała się, że będą potrzebne późną jesienią. Dzień taki gorący, a mimo to samochód czasem wpada w niewielkie kałuże. Zostały po wczorajszej zimie, która zjawiała się na kilka godzin, siejąc ogromne płatki śniegu.

Samochód hamuje gwałtownie, bo słońce napadło na szybę właśnie wtedy, kiedy przez jezdnię biegł mały, biały pies, maltańczyk chyba, więc Beata nacisnęła pedał hamulca, aż jakiś mężczyzna odskoczył, łapiąc za rękę młodą kobietę. On ma na sobie puchową kurtkę, a ona idzie w wiosennej sukience.

Samochód rusza. Dobrze by było podjechać na stację, bo wskaźnik paliwa jest blisko zera, ale do telewizji już

niedaleko, lepiej nie ryzykować spóźnienia, a przede wszystkim zebrać myśli, zanim się stanie przed kamerą.

Zapowiedź programu o „pokoleniu zagrożeń” musi być zwięzła i dynamiczna, powinna trafić do młodych ludzi, jeżeli są jeszcze tacy wśród widzów telewizji. Można w to zwałpic, zwłaszcza kiedy rozmawia się ze swoim młodszym bratem, który chodzi po domu w kapturze nasuniętym na czubek nosa.

A Dzonga nagle się poruszył. Został mu przecież jeszcze kwadrans, a on potrzebuje snu, żeby nabrać sił na podróż do Memphis. Ten szlak przepływał też jego ojciec, zanim przekłuli go Ładowcy, wyjątkowo okrutne stworzenia, które pływają małymi ławicami po tafli wody. Wieloryby nie potrafią ostrzegać się wzajemnie przed Ładowcami, na szczęście ci zdarzają się bardzo rzadko i zwykle można ich wyczuć przez charakterystyczne drobne prądy.

Teraz nie było niczego takiego, nic, co zaburzyłoby równowagę ciemnej godziny, a jednak Dzonga się wybudził. Zwykle cuci go szara fala światła, a z nią pierwsze ławice, które pochłania na śniadanie razem z litrami wody, potem płynie znanym tunelem, aż tam, gdzie koralowce widać bardzo wyraźnie.

Teraz niczego tu nie ma, tylko woda czarna, uśpiona i zimna. Nigdy nie zaznał takiej ciemności i takiej pustki. Machnął ogonem, odbił się w górę, zrobił przewrót do pozycji poziomej i teraz już musi płynąć, chociaż w ciemnościach kierunek jest niepewny. Zanurzył się jeszcze głębiej, tam, gdzie każdy dźwięk słyhać nawet z daleka. Jeżeli któryś z wielorybów też się wybudził, to może daje znać, może wie więcej o tym, co się stało, więc Dzonga zaczął kierować się zmysłem słuchu, nie zwracając uwagi na to, dokąd płynie.

\*

Beata zmienia pas jezdni, naciska pedał hamulca, a stopy ma bose, bo tak lubi najbardziej, po prostu daje im odpocząć, zanim założy czerwono-żółte buty na zielonym obcasie, o których potem będą pisać wszystkie plotkarskie portale. Tak, to jest kicz, tak, to jest obciach i dno, żeby dziennikarka od zagrożeń i poważnych tematów ubierała się jak podrzędna celebrytka, tak, jest przez to wzgardzona przez szanujących się widzów stacji, ale ten prosty trik ściąga uwagę mniej wymagających, a jest ich, co tu mówić, miliony i dzięki tym butom właśnie mogą dowiedzieć się czegoś o stanie świata.

Beata znowu naciska hamulec i to jest bardzo przyjemne, bo szorstka powierzchnia pedału delikatnie drapie bosą stopę.

A Dżonga się niepokoi. W takich ciemnościach można stracić poczucie czasu i zgubić szlak, choć to jest chwilowe oczywiście, zaraz ruszą błyszczące ławice, księżyc przebieje się przez powierzchnię, a wtedy będzie słychać nawoływanie delfinów i skrzek morskiego konika. Najważniejsze to nie wpaść w panikę i płynąć spokojnie, aż światło dotrze nad ocean.

Beata zerka na zegar, chociaż jak zawsze czas ma dokładnie odmierzony, i tak nie umie się powstrzymać przed nieustannym sprawdzaniem godziny, codzienną paniką, że nie zdąży i przyjedzie do studia, kiedy już wszyscy będą gotowi. Dzisiaj to jest szczególnie ważne, przecież rozmawia z kimś wyjątkowym, zawsze zresztą z kimś wyjątkowym rozmawia, wczoraj to był prezes Fundacji Eco Bałtyk (alarmująca sytuacja ekosystemu w morzach i oceanach, zabójczy plastik), a dzisiaj psycholożka od młodzieży z myślami samobójczymi.

Swoją drogą, można by po programie zagadnąć ją w sprawie brata, bo czy to jest normalne i co to może znaczyć, że chłopak nawet w domu nie zdejmuje z głowy kaptura od dresu, w każdym razie ile razy Beata przyjeżdża do rodziców, on siedzi przed komputerem z głową schowaną w ten kaptur i nie zrzuca go nawet do obiadu. Rodzice już nie chcą o tym rozmawiać, machają tylko ręką, a zresztą nawet gdyby mu coś powiedzieć, to on i tak niczego nie słyszy w słuchawkach, które wciśnięte ma w uszy i rano, i wieczór, i kiedy śpi. Mama już nawet nie płacze, jak kiedyś.

Beata dojeżdża do czerwonego światła i jak zawsze w tym samym miejscu zaczyna myśleć, że rodzice się starzeją i powinna wziąć brata do siebie, w końcu ma duże mieszkanie w centrum Warszawy, całe tylko dla niej i że to jest jednak egoizm. Z drugiej strony...

Jak zawsze przy zmianie światła ta myśl się urywa. Beata patrzy w boczne lustro, a w samochodzie obok dwoje dzieci gapi się na nią z takimi minami, jakby zobaczyły żyrafę przy kierownicy. Beata kładzie bosą stopę na gazie i rusza w kierunku ronda.

I właśnie teraz światło księżyca przebija tafel wody. Tu w głębi jest słabe, ale wystarczy, żeby odróżnić kontury morskich roślin. Dziwne. Nie ma żadnej ławicy, nie ma nawet większych ryb. Może to jednak nie ten szlak? Dżonga nie ma pewności, płynie jednak dalej, mimo że prąd jest zimny i czuje to nawet przez swoją grubą skórę.

Nagle, jakby na pocieszenie, pojawia się jedna ryba, płaska i przezroczysta, i chociaż nie jest tak mała jak plankton, to jednak Dżonga ją połyka, bo może uda się chociaż trochę napełnić żołądek.

Płynie dalej, można powiedzieć – po omacku, bo tunel w tej wodzie jest jakiś obcy, a zapach całkiem nieznan.

Na szczęście co jakiś czas podpływa tu jedna z tych przezroczystych rybek bez łuski i wpada w otwartą paszczę, wypełnia pustkę, choć Dżonga wcale nie odczuwa przypływu sił. Połknął już sporo tych dziwnych stworzeń i nadal jest bardzo głodny, więc goni za pożywieniem, które fruwa raczej, niż płynie, i nie zawsze daje się złapać.

Teraz, w tej chwili akurat, potrzeba więcej sił, bo przyszedł czas na oczyszczenie nosa, więc Dżonga skacze w górę, przebija taflę wody i wyrzuca z siebie strumień wody.

Samochód mija osiedle szarych domów z balkonami, które wyglądają jak piwniczne składowiska. Stare rowery, puste półki, połamane krzesła, na każdym balkonie można zobaczyć coś takiego. Tylko jeden jest pełen kwiatów i pewnie dlatego zawsze przyciąga uwagę. Dzisiaj stoi tu wielki pies, stary, to widać po zwieszonym pysku i po ogonie, którym macha powoli, jakby oszczędzał siły.

Zwykle na tym odcinku drogi Beata powtarza sobie pytania do wywiadu, a dzisiaj przyszedł jej do głowy wujek z Gliwic, który tak właśnie machał do niej ze swojego balkonu. Umarł, kiedy była na studiach. Był bardzo stary, całkiem sam, a ona nie przyjechała na jego pogrzeb. Po prostu nie przyjechała i nie ma żadnego wytłumaczenia, nie było egzaminów czy nawet ważnej randki. I nagle teraz, kilkaset metrów przed rondem, pokazał się jej tak, jak go pamięta, z konewką w ręku nad liśćmi paprotki... Dlaczego?

Wszystkie te myśli zagłuszył telefon. Nie może odebrać na rondzie, więc tylko zerka na ekran, a tam...

Beata szybko dotyka słuchawki, ale słychać tylko szum morza, więc zwalnia, żeby usłyszeć coś więcej, i wtedy połączenie się urywa. Krótkie dźwięki klaksonów poganiają samochód, więc musi przyspieszyć, a kiedy zapala się czerwone światło, jednym stuknięciem palca wybiera numer,



jednak słyszy tylko: Połączenie nie może być zrealizowane. To głupie, ale nawet ten głos wydaje się zachrypnięty i przytłumiony przez morze.

Beata rusza na zielonym świetle i musi bardzo skupić myśli, bo inaczej zmyli drogę, to jest możliwe, a nawet nieuniknione, kiedy w głowie pojawia się obraz jedenastu młodych ludzi na łodzi podobnej do koszyka. Dzwonią do niej? Już teraz?

Egipsi...

Beata dowiedziała się o nich od brata, kiedy siedział w swoim kącie i nakryty kapturem stukał w klawiaturę laptopa.

– Co robisz?

– Nic. Jestem w grupie.

– Mogę zobaczyć?

– Nie.

– Dlaczego?

– To zamknięta grupa. Poniżej dwadzieścia plus.

– Tylko spojrzę.

– I tak nic nie zrozumiesz.

Rzeczywiście. Kiedy udało się Beacie zerknąć na ekran, nie mogła rozszyfrować ani jednego zdania. Jacyś „Egipsi”, jakiś „antykodeksik”, „eksplorka na łodzi z papirusu”. Zapamiętała numer telefonu, taki odruch dziennikarski...

– „Eksploorka”? Jedziesz na jakąś wyprawę?

– Nie mogę – mruknął. – Nie mam osiemnastki. Tylko osiemnaście plus mogą się załapać. – Nasunął kaptur nad czubek nosa. – Mnie brakuje dokładnie miesiąc, a oni muszą wypłynąć. Poza tym mają już całą jedenastkę.

– Dlaczego jedenastkę?

– Bo tyłu miał Thor Heyerdahl.

– A kto to jest?



– Antropolog norweski. Zbudował taką łódź z papirusu, jak starożytni Egipcjanie. Pierwsza mu się rozpadła, ale drugą dopłynął do Barbadosu... I teraz Egipsi zbudowali to samo.

– I płyną na Barbados?

– Nie. Do wyspy śmieci na Pacyfiku. Zobaczyć.

– A ta... łódka jest z papirusu? Naprawdę? A skąd wypływają?

To było ostatnie pytanie, na jakie odpowiedział spod tego kaptura, bo prawdopodobnie „antykodeksik” zabraniał mu kontaktów z dziadersami.

Od razu pomyślała, że to dobry materiał o nowym pokoleniu, o tych zamkniętych grupach, więc zapisała numer pod nazwą „Egipsi”, wsiadła do samochodu, dotarła do portu i ukrywając kamerę pod kurtką, pojawiła się tam jako przypadkowa samotniczka, która lubi pogadać z nieznajomymi.

Oczywiście było możliwe, że któreś z tej jedenastki ją rozpozna, bo mało kto nie zna Beaty, ale osiemnastolatki to pokolenie, dla którego telewizor jest czymś w rodzaju starego mebla, dlatego kiedy podeszła, nawet nie oderwali się od pracy.

Kamera ukryta w kurtce nagrywała wiatr, łopot żagla i szum morza, a obiektyw filmował fragmenty twarzy i podkoszulki zbryzgane wodą.

Żółta łódź, podobna do wielkiego koszyka, nie mieściła się w kadrze i tylko czasem obraz ślizgał się po ogromnym białym żaglu. Jeden z chłopaków nawet chętnie zaczął rozmawiać, całkiem możliwe, że to było podszyte lękiem w ostatnich chwilach przed odcumowaniem łodzi. Najlepiej słyhać oczywiście głos Beaty:

– Naprawdę chcecie tym płynąć?

– Tak.

– Ale z czego to jest? Mogę dotknąć?

- Z papirusu.
- Jak to z papirusu? Potopicie się!
- Nie... Można na tym płynąć.
- I sami to zrobiliście?
- Tak, sami. Z papirusu i trzciny.
- Ale po co?
- Żeby popłynąć czymś eko. Zrzuciliśmy się na papirus, a potem robiliśmy łódź w garażu taty kolegi, a jak była gotowa, to tylko czekaliśmy do dzisiaj.
- Dlaczego akurat do dzisiaj?
- Bo dzisiaj Paula skończyła osiemnaście lat i teraz już wszyscy jesteśmy pełnoletni, a rodzice nie chcieli nam pozwolić...
- A dokąd płyniecie?
- Na Atlantyk, do wyspy śmieci. Zobaczyć.
- Nie wystarczy internet?
- Ekran to stara sprawa. Nie ma zapachów, nie ma trójwymiaru.
- Będziecie nagrywać relacje?
- Nie. My nawet nie bierzemy ze sobą laptopów, a komórkę tylko jedną.
- Chcecie być sławni? Bo ja...
- Nie. Nie chcemy.

Tutaj rozmowa się urywa, plecy chłopaka zasłaniają obiektyw, a zaraz potem pojawia się ręka, która odwija ciężki łańcuch. Obraz łodzi odpływającej w morze udał się najlepiej, bo Beata już mogła wyjąć kamerę spod kurtki, więc widać wyraźnie, jak żółty koszyk znika za horyzontem.

Co z tym zrobić? Oczywiście poczeka na rozwój sytuacji, bo to jeszcze za mało, żeby był dobry materiał, ale przecież tak czy inaczej ta wyprawa się skończy – dobrze czy dramatycznie, ale jakoś się skończy, więc czy Egipsi chcą tego, czy nie, i tak powstanie dobry reportaż.

I takie to byłoby proste, gdyby nie brat, o którym nie pomyślała, nagrywając to wszystko. Tak, jest dziennikarką bez skrupułów, tak, hołduje zasadzie „Jeśli chcesz być dziennikarzem, możesz mieć duszę anioła, jeśli chcesz być dobrym dziennikarzem, musisz mieć duszę diabła”, i dotyczy to wszystkich, ale nie brata oczywiście. Musi powiedzieć mu o nagraniu, bo inaczej wyrzucą go z grupy, a wtedy... Kto wie, co się pod tym kapturem narodzi.

Rozmowa z bratem to było jedno z najtrudniejszych zadań w jej życiu. Chłopak zamknął się w toalecie na kilka godzin, nagle wyszedł uśmiechnięty i zadowolony jak nigdy. Udało mu się dodzwonić na łódź i przeprosić za siostrę celebrytkę, a oni uznali, że w sumie „spoko”, poprosili nawet o numer do niej, dlatego podał, chociaż według niego to był żart. No jasne, że żart, bo antykodeksik zabrania kontaktów z Sabinkami.

– Co to są „Sabinki”?

– Takie od sukcesów w telewizji.

– A dlaczego „Sabinki”?

– Nie wiem. Tak się mówi. Podałem twój numer, ale na pewno nie zapisali.

Beata bębni palcami w kierownicę, bo musi jak najszybciej wydostać się z korka i znaleźć miejsce, gdzie nie trzeba będzie manewrować między samochodami. Komórka dzwoni znowu, więc szybko przełącza na głośnomówiący i próbuje wyłowić sens słów, które zagłusza szum morza. Głosy są niewyraźne, ale jednocześnie czymś bardzo przejęte i to jest naprawdę niepokojące. Oni wykrzykują jakieś jedno słowo, więc co to może być, jak nie wołanie o ratunek! Beata naciska klakson i wymijając na pasie samochód, krzyczy:

– Powtórzcie! Czy potrzeba wam pomocy?

Z całego szumu przebija się tylko jedno słowo, ale nie można go zrozumieć, kiedy auta te piszczą klaksonami...

Beata wykręca kierownicę najszybciej jak może i robi manewr, jakiego nikt się nie spodziewa – wyprzedza samochody, musi przecież dotrzeć do miejsca, gdzie będzie mogła coś usłyszeć, chociaż to słowo staje się coraz bardziej wyraźne:

– Wieloryb! Wieloryb!

Wieloryb w Bałtyku? Przecież nie mogli już dotrzeć na inne morze! Łączy się z prezesem Fundacji Eco Bałtyk, mówi mu wszystko w dziennikarskim skrócie, a on:

– Motorówki! – krzyczy. – Trzeba tam posłać głośne motorówki, one przekierują wieloryba!

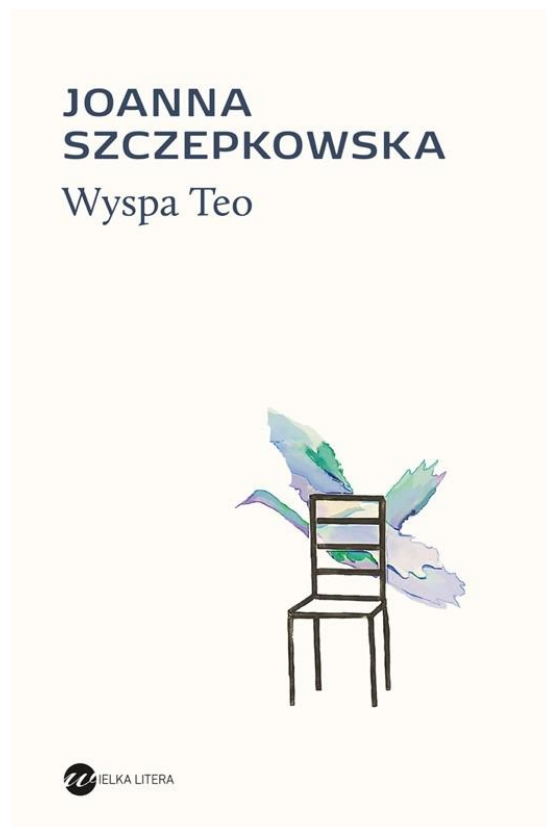
Beata posyła mu numer do Egipsów i nagle samochód podskakuje, jakby napotkał jakieś wzniesienie. To tylko tory tramwajowe, a na przystanku kilka żółtych wagonów.

Dzonga zanurza się w wodzie. Oczyszczył nos, powinien czuć się dużo lepiej, ale ta zimna otchłań budzi zbyt wiele lęku. Coś jest nie tak – ciało odczuwa siłę przyciągania, a to się przecież nie zdarza. Wieloryby pływają daleko od dna.

I teraz, kiedy tramwaj rusza z przystanku, samochód staje na środku torów. Beata przekręca kluczyk w stacyjce, raz, drugi, ale warkot silnika jest słaby i krótki. Tramwaj...

Zostawmy to. Tak, zostawmy to zdarzenie właśnie w tej chwili. Opowiem wam kilka innych, z tajemnicą w środku, a cała ta historia przeplynie przez nie raz z większą, raz z mniejszą siłą. Wszystko się przecież przeplata i wiąże ze sobą. Zabłąkany wieloryb może wpłynąć na życie dziennikarki, a strzęp plastiku wrzucony do rzeki zadecydować o drodze wieloryba. Wszystko i tak zależy od pogody.

Przeczytaj [więcej](#) o książce:



Sprawdź nasze [NOWOŚCI](#)  
Zapraszamy na [wielkalitera.pl](http://wielkalitera.pl)

